

Radwanienie

Tomasz Cyz \ Tę książkę czyta się jednym tchem. Nie tylko dlatego, że rozmawiają dwaj przyjaciele: Stanisław Radwan (kompozytor, głównie teatralny i filmowy, dyrektor Teatru Starego w Krakowie) przepytany przez Jerzego Illga (wydawcę, wieloletniego redaktora naczelnego Wydawnictwa Znak). Rozmawiają – to dobre słowo. W dzisiejszym świecie, w którym rozmowa zastąpiona zostaje krótkimi i wyczerpującymi się po kilku minutach wpisami w mediach społecznościowych, zapis tej wielogodzinnej i wielotygodniowej konwersacji (a tak naprawdę wieloletniej przyjaźni) jest cudowną, ożywczą, twórczą przygodą czytelniczą. Najpierw tematy. Stanisław Radwan (rocznik 1939) opowiada w tej książce o wielu szczegółach ze swojego barwnego życia. Dzieciństwo w Bieńkówce koło Suchej Beskidzkiej i Makowie, z siedmiorgiem rodzeństwa, ojcem Władysławem – legendarnym organistą, pierwszymi lekcjami fortepianu u Włoszki Giuseppiny Verio (po mężu Dutkiewicz), spotkaniami z zaprzyjaźnionymi z rodziną kardynałem Sapiehą i ks. Czartoryskim; lata szkolne w Krakowie, mieszkanie na Wawelu („Adres? – Wawel 2. – Znaczy ulica Wawel? – Nie, proszę pana, Wawel 2".), lekcje u prof. Skołyszewskiego; studia kompozycji u Krzysztofa Pendereckiego („Przez cały pierwszy rok, czyli dwa semestry, byłem jego jedynym studentem [...] Nazywali nas wtedy «klasą dwóch». [...] myśmy prawie nigdy nie spotykali się w szkole, tylko w Jamie Michalika albo w Fafiku na

Siennej. Bo po co nam szkoła?”), stypendium w Paryżu w klasie Pierre’a Schaeffera; wieloletnia obecność w Piwnicy pod Baranami; pierwsze prace teatralne, a dalej współpraca z gigantami polskiego teatru i filmu XX wieku (wymieńmy największych: Swinarski, Hübner, Wajda, Jarocki i, oczywiście, Grzegorzewski); dyrekcja w Starym Teatrze (1980-1990). I ludzie. I anegdoty – choć wszystko, co tu czytamy, wydaje się prawdą. A nawet *se non è vero, è ben trovato*. Stanisław Radwan jest fantastycznym opowiadaczem. Skromnym (to cecha niezwykła, rzucająca się w oczy od pierwszego kontaktu, onieśmielająca, ale warta dostrzeżenia i naśladowania), piekielnie inteligentnym, czułym, bezkompromisowym, uważnym, z onieśmielającym poczuciem humoru i dystansem do samego siebie. Potrafi dostrzec w sytuacji, zdarzeniu, miejscu, człowieku rzeczy ukryte, na pierwszy rzut oka niedostrzegalne, ale bezwzględnie ważne. Wyróżniające. I nie wiem, czy bierze się to z charakteru nadanego przez miejsce i czas urodzenia, czy z doświadczenia spotkania z takimi nie innymi ludźmi, i formacji, jaką otrzymał, konieczności, potrzeby. Może wszystko razem. Nas w tym miejscu najbardziej mogą interesować rzeczy muzyczne. Wspaniale czyta się o muzycznych początkach Stanisława Radwana: nauka gry na fortepianie od trzeciego roku życia, ciągłe obcowanie z muzyką przede wszystkim w kościele dzięki ojcu-organście („Nie masz pojęcia, jak myśmy się rwali, żeby grać na organach. Ale nie tak po godzinach, chcieliśmy akompaniować ludziom w kościele. [...] Ani brat [Józef, potem dyrygent – przyp. TC], ani ja nie sięgaliśmy jeszcze pedałów, —>

więc jeden grał na klawiaturze, na manuale, a drugi mu naciskał odpowiednie pedały”). Nie znałem historii z Arturem Rubinsteinem. Student Radwan zastąpił na publicznej lekcji mistrzowskiej słynnego kolegę-pianistę i grał Bacha. Rubinstein przerwał mu po dwóch taktach, tłumacząc, że „ani jedna nuta nie była równa”, „w związku z tym to się złało, nic mi tu nie opowiedziałeś”. I udzielił zdumiewająco prostej i genialnej rady: przyłożyć dłoń i zbadać swój puls: „Przecież podstawową rzeczą jest uzgodnienie swojego rytmu z rytmem utworu, który masz zagrać [...] uzgodnienia pracy własnego serca z rytmem”. I kiedy dalej Rubinstein, siedząc przy fortepianie, tłumaczył skomplikowaną fakturę *Preludium i fugi cis-moll* Bacha, Stanisław Radwan – olśniony kolejną uwagą – wypchnął ze stołka wielkiego pianistę i zagrał utwór do końca. „Tak mnie natchnął, a on podobno odwrócił się do sali i mówi: «Ale go wcisnąłem»”.

Niezwykłe musiało być doświadczenie uczenia się u Krzysztofa Pendereckiego: „Skupiał się nieprawdopodobnie na [...] uczciwej, rzemieślniczej robocie. Do tego stopnia, że każdy z elementów kontrapunktu – bo jeszcze do kompozycji nie dochodzimy, mówię tylko o samym rzemiośle – był przez niego skrupulatnie dopracowany, nie wypuścił ani jednego «może być». Wymagał: «Najpierw poznaj reguły, żebyś je mógł łamać». [...] był, można powiedzieć, średniowieczny. Pracował z benedyktyńską cierpliwością i konsekwencją. [...] Metodą [profesora Pendereckiego, przyp. TC] – mógłbym tak powiedzieć, źle używając słowa metoda – było: «Czego mu brakuje?». I gnębił mnie w tych miejscach, w których byłem słabszy, żeby to poprawić”. I dodaje jeszcze, że mistrz był pewnie zawiedziony drogą, którą obrał uczeń – czyli drogą teatru...

Właśnie, teatr. Przewija się przez całą książkę, przez wszystkie fragmenty, ale staje się tematem głównym trzeciej części („Lata teatru”). Bo Stanisław Radwan jest niezbywalną częścią historii polskiego teatru drugiej połowy XX wieku. Współtworzył przecież najważniejsze przedstawienia Konrada Swinarskiego (*Woyzeck*, *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*), Zygmunta Hübnera (choćby *Muzyka – Radwan* w Teatrze Powszechnym w Warszawie), Andrzeja Wajdy (także filmy, m.in. *Wesele*), Jerzego Jarockiego (ponad czterdzieści lat współpracy). Wreszcie dla mnie najważniejszy w tym gronie: Jerzy Grzegorzewski – z którym, jak głosi plotka (*se non è vero... i tak dalej*), nigdy nie przeszli na „ty”. Przynajmniej publicznie. Pracowali ze sobą od 1969 roku, zaczęli od *Wesela* Wyspiańskiego (które Radwan realizował w teatrze trzynastu razy...).

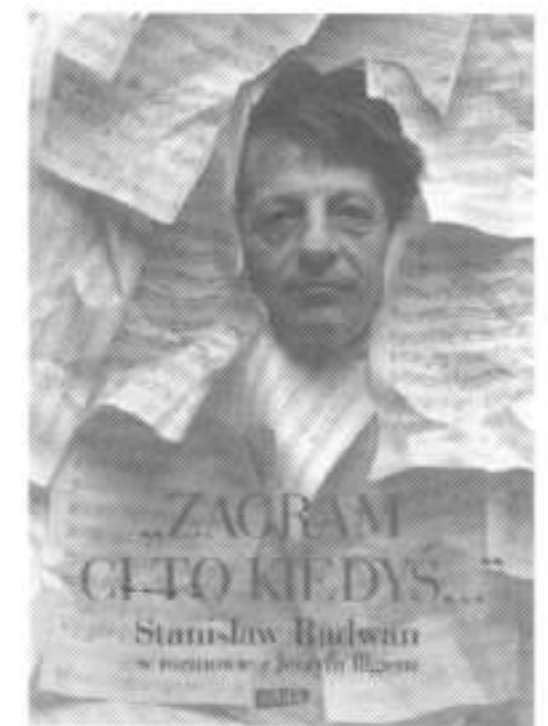
W pewnym sensie ta książka jest niezwykłym traktatem, szkołą teatru (choćby reżyserii): „Na tym polega geniusz reżysera: ułożyć odpowiednie proporcje. Żeby nie olśniewało cię coś, co jest efektowne, tylko żebyś widział, jak to służy całości”; „A ostatni etap polega na tym, że jak już wszystko zharmonizujesz, musisz zobaczyć, że to nie jest wszystko. Tam są dysharmonie, które są najważniejsze”; Dla dobra artysty potrzebne jest okrucieństwo. Reżyser, który nie umie być okrutny wobec aktorów, niech skończy z tym zawodem”; „Stąd ja się upieram:

gest jest także muzyką, bo podlega prawom kompozycji rytmów. To jest akord. Twój gest nie może nie podlegać rytmowi, który powołały już do życia inne materie tworzywa. Chyba że chcesz specjalnie zburzyć strukturę istniejącą do tej pory”.

Przez całą książkę przewijają się także świadectwa napisane przez przyjaciół, współpracowników, członków rodziny, których Jerzy Illg poprosił o napisanie góra trzech zdań o bohaterze. Kilka wyimków. „To szeliszczący stwór zmyślony od początku do końca. Nie da się opisać go w trzech zdaniach” (Barbara Hanicka); „Był jednym z moich studentów – może najlepszym. Niestęchany, zdolny, mniej pracowity, z fantastycznym poczuciem humoru i z dystansem do swoich zdolności. [...] szkoda, że praca w teatrze tak zawładnęła jego czasem, że nie udało mu się rozwinąć swojego talentu w muzyce poważnej” (Krzysztof Penderecki). „[...] A potem znienacka sam dzwoni, umawiamy się, i wtedy okazuje się, że jest drugi Staszek, intensywny jak nikt, pływamy objęci po morzach i oceanach, nigdy dość napawania się jego góralskim uśmiechem i niewyczerpanym entuzjazmem. Ale wystarczy rozstać się z nim na moment, by znów znikł tak mocno, jakby w ogóle nie istniał. W życiu nikogo takiego nie spotkałem” (Tadeusz Nyczek). „Cenię sobie najbardziej dar uważności, który ofiarowuje mi przy każdym, zbyt rzadkim spotkaniu. Czuję wtedy (przez chwilę), że dopuszcza mnie do jakiejś metafizycznej wspólnoty, wierzę (przez chwilę), że tylko on i ja znamy tę najważniejszą tajemnicę, która porządkuje świat i nadaje mu sens. Jaką? Nie musimy o tym mówić, nie musimy sobie nic wyjaśniać. Rozumiemy się. A gdy ktoś cię rozumie (choćby przez chwilę), wiesz, że nie jesteś sam” (Joanna Olczak-Ronikier).

Sam mam dwie historie związane ze Stanisławem Radwanem, których nie zapomnę do końca życia. Jedna dotyczy wywiadu, jaki przeprowadzałem z nim dla „Tygodnika Powszechnego” o muzyce w teatrze Krystiana

Lupy (pracowali m.in. przy *Braciach Karamazow*). Pierwszy etap (nagranie, spisanie) się udał. Początkowa część etapu drugiego (umówienie się na autoryzację) także. Przyszedłem na umówione miejsce o umówionej godzinie. I nic. Czekam, czekam. Cierpliwie. Dzwonię kilkakrotnie, bezskutecznie. Nie ruszam się z miejsca, nie robię nerwowych ruchów. Stanisław Radwan zjawia się jakieś dwie godziny po czasie. Ze zniewalającym uśmiechem. Nie pamiętam, żeby zmienił więcej niż kilka słów. Po kilku latach jakby nigdy nic na moim telefonie wyświetla się hasło: „Radwan”. Odbieram. „Panie Tomaszu, piszę właśnie na sześćdziesiątce „Tygodnika Powszechnego” piosenkę do słów Bronisława Maja i chciałbym, żeby pan ją zaśpiewał”. „Ja?”. „Tak. Do zobaczenia w Krakowie”. Po kilku dniach dostaję nuty (mieszkaliśmy wtedy w Poznaniu). Patrząc: moja partia napisana jest dokładnie w tessiturze, w której czuję się najlepiej, najbezpieczniej. W punkt. Taki jest właśnie Stanisław Radwan.



[S. 523] WYDAWNICTWO ZNAK, KRAKÓW 2018

„Zagram ci to kiedyś”. Stanisław Radwan w rozmowie z Jerzym Illgiem